№ 13 WARSZAWA d. 16 (28) Marca ROKU 1874



I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 k. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. k. 50. Numer pojedynczy k. 15 — w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—W KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj, lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłatą dla GALICJI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4 W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

PIEŚŃ STRZAŁĄ.

z Longfellowa.

Rzuciłem strzałę, gonię oczyma,
Gdy chyżym pędem w powietrzu mknie,
Polotom strzały wzrok nie dotrzyma,
Padła na ziemię—wiem-że ja gdzie?

Rzuciłem piosnkę w modre lazury
Zgonić-że okiem nikły jej ślad,
Może ją zimne rozwiały chmury,
Wiem-że gdzie słaby jej oddźwięk padł?

Zimowy tuman wiosna rozwiała,
Słoneczkiem błyska majowy dzień.
Cóżem zobaczył? to moja strzała;
W dębu stuletni utkwiła pień!

A tyś utkwiła w bratniej mi duszy,
Słodka piosenko, dolę twą znam,
Chłód cię nie zziębi — skwar nie wysuszy,
Uściel gniazdeczko ptaszyno tam!

S. D.

SŁÓW KILKA

Z powodu Odczytów dziesięciogroszowych.

Społeczność, która w całej swej masie, we wszystkich warstwach ją składających, rozwija się wedle sił i możności, można porównać do organizmu pojedynczego człowieka, posługującego się wszystkiemi organami bez wyjątku dzielnie działającemi. Owocem tego bywa zdrowie, z niem zadowolenie moralne i harmonia we wszystkich objawach życia jednostki: społeczność tych samych doświadcza wpływów, tylko z tą różnicą, że nie starzejąc się coraz dzielniejszem zostaje zbiorowiskiem, i myślące, zamożne i zaradne, idzie dalej coraz dalej, krzepką dłonią odsuwając wszystkie nastręczające się zawady.

I nie może być inaczej. We wszystkich kierunkach czynności ludzkich, dźwiganie ich, i ulepszanie dopełniają jednostki. Masy pozornie są martwe, ale wśród nich jak marcowy kwiatek wśród kupy zeschłych liści, tu i owdzie wydobywa się głowa, co rozumną myślą lub siłą talentu ma dźwignąć się po nad drugie. Im głów takich więcej, im częściej powstają, tym w społeczności lepiej się dzieje, tym widoki przed nią świetniejsze się otwierają. Zjawiają się zaś bez żadnego względu na podziały społeczne z ludzkich wyrosłe urządzeń, tylko z tą różnicą, że w otoczeniu troskliwem, podsycane nauką wyrastają bujnie, w zaniedbanem przepadają jak ziarna nasienne, rzucone na opokę. Marnotrawstwo to niczem nie nagrodzone, fatalnie daje się uczuć wszystkim, zatracane skarby nikomu nie przynoszą korzyści, potężna myśl ginie, talent bezprodukcyjnie zamiera.

Społeczność to jak rola: uprawiana w małym kawałku, mały plon przynosi, a że uprawę tę w społeczności dopełnia nauka, więc staranie o szerzenie jej wszędzie jest na porządku dziennym.

W wielu miejscowościach starają się je naśladować, ztąd szkółki, czytelnie, wydawnictwa, nowe metody nauczania, wreszcie odczyty publiczne nie tak dawno w zwyczaj weszłe. W Paryżu urządzone podobne posiedzenia wieczorami uczęszczane niezmiernie licznie przenoszą się już i na prowincyą z wielkim pożytkiem i zadowoleniem wszystkich. Wyrobiła się już nawet jakby ruchoma kolumna prelegentów, dla których stanem chlebodajnym są wykłady, a że popularność powiększając liczbę słuchaczy, powiększa i dochód z nich otrzymywany, każdy więc z tych nauczycieli stara się, o jak najjaśniejszy wykład i o przedmiot najbardziej ciekawość obudzający. Ztąd wprawa w przedstawianiu rzeczy i pożytek na ogół spływający, mnoży się liczba wykładających, mniej zdolni usuwają się, prawdziwa zasługa staje na właściwem miejscu, a w koło niej grupuje się coraz większa liczba słuchaczy, która światełkiem rozbudzonej w sobie myśli, coraz lepiej oceniać umie własny interes z powszechnem dobrem złączony.

U nas w Warszawie odczyty podobne już rok drugi mają miejsce, ale zdaje nam się że pomimo najszlachetniejszej chęci prelegentów, nie weszły na drogę właściwą. Nie dość bowiem rozumne i poczciwe słowo umieć wypowiedzieć, ale jeszcze trzeba słuchaczy pociągnąć i przyzwyczaić do słuchania. Przemiany wszelkie od razu nie odbywają się: rzemieślnik chętnie czas wolny przepędza w szynku, bo tam po pracy znajduje rozrywkę w gawędzie, w grze w bilard, w karty a wreszcie w samem podniesieniu wyobraźni trunkiem. Pragnąc go zatem do słuchania odczytów zachęcić, należy go niemi bawić, czyli przedstawiać w nich coś takiego, co jako zupełnie nieznane, zająwszy zadowolni. Sądzimy więc, że wykłady z nauk przyrodzonych poparte doświadczeniami jak w fizyce i chemii, z okazami jak w botanice i w fiziologii, wielce w tym razie byłyby pożytecznemi. Oświecając, myśl bogacąc i podnosząc, dałyby nowy materyał do rozmowy, a wtenczas i szynki do pewnego stopnia nieodzowne, mniejby stanowiły niebezpieczeństwa. Trzeba tylko ludzi odpowiednich, a ci się znajdą z pewnością, jeżeli tylko pozbędziemy się szkodliwej nieśmiałości w pobieraniu nagrody pieniężnej za pracę w kierunku oświaty ludu rozwijanej. Niech bilet wejścia dziesiątkę kosztuje, ale niech dochód ztąd otrzymany idzie na wynagrodzenie prelegenta. Uniesieni fałszywą filantropią, odczyty podobne zostawiamy lu-

dziom dobrej woli, z których nie każdy może czas i pracę bezpłatnie ofiarować. Robią więc to poświęcenie ludzie tylko mniej więcej niezależni, ci zaś nie zawsze są specyalistami, a tu takich koniecznie potrzeba.

Niech-że więc ta uwaga zwróci powszechną baczność, i niech się uorganizuje rodzaj komitetu, któryby ułożywszy szereg odczytów systematycznie, uprosił specyalistów do wykładów za wynagrodzeniem przeplatanych odczytami osób, które dziś same ciężar ten dźwigają. Czas to pieniądz i nauka jest nim także; jakżeż więc można wymagać aby te, poświęcane darmo, mogły właściwy przynosić pożytek! Płaćmy dobrze ale za dobry towar, a kupno takie będzie nieopłacone w korzyściach, jakie zleje na całą społeczność.

Przyszłość czcią zapłaci obecności.

Odczyty w ten sposób poprowadzone z łatwością przeniosą się na prowincyę: gdzie braknie wykładających, Warszawa i większe miasta dostarczają ich, stworzy się nowy rodzaj zarobku tak bardzo pożądany, którego tłumienie szlachetną lecz niepraktyczną myślą bezinteresownego poświęcenia dla dobra powszechnego, wzajemną tylko przynosi szkodę. Kraj na ofiarze pracy, przynoszącej mu kilka lub kilkanaście tysięcy złotych korzyści mało bardzo straci, a zyska nieopłacone dobrodziejstwo w dzielniejszem prowadzeniu służby dla niego podjętej. Pozytywiści Warszawscy przeciw idei poświęcania tak wiele piszą, a jednak praktykowaną z milczeniem pomijają. Widoczny tu brak dobrego rachunku, bo nie taniość wartość każdej rzeczy stanowi, ale jakość jej, i dla tego kupno tanie zwykle stokróć jest droższe, od kupna szczodrze zapłaconego. Ten sam wypadek zachodzi u nas z odczytami dziesięciogroszowemi, weźmy się do cyfr i obliczmy się z niemi dokładnie.

LALKI.

SCENY PRZEDŚLUBNE

PRZEZ

J. J. KRASZEWSKIEGO.

Inter calicem et os mulla cadunt.
Przysłowie.

(Dalszy ciąg)

Opuszczony hr. Roman poczynał się burzyć w sobie, gdy litościwa Herma przyszła mu w pomoc i przysiadła do niego.

— Jakże się ma stryj hrabiego? odezwała się— sam przyjazd pański zdaje się zapewniać, że lepiej... Lola była o jego zdrowie niespokojną.

— Tak jest, stryj mój ma się lepiej znacznie— rzekł Roman smutnym głosem ofiary niewinnie poświęconej.

Zniżył głos i po namyśle dodał:

— Z jego rozporządzenia przybyłem tu... gdyż inaczej nigdybym się tak często nie śmiał naprzykrzać zwłaszcza że w Gromach jak widzę—nie zbywa na towarzystwie.

— A! to tylko dziś taki jakiś dzień szczęśliwy, złośliwie poczęła Herma—na dnie powszednie nie mieliśmy nikogo oprócz p. Adolfa Nieczujskiego...

— Widzę że nie odjechał jeszcze...

— Lola go zatrzymała, mówiła z pewnym naciskiem Herma—to bardzo dobry i miły człowiek, chociaż niepozorny.

— Tak, bardzo niepozorny... śmiejąc się dodał Roman.

— Ale mężczyzna bardzo przystojny, podchwyciła Herma, a że troszkę zaniedbuje się, tego mu za złe brać nie można. Bez pretensyj...

Roman milczał zacięcie—Herma paplala.—Wszakże z hr. Ildefonsem i p. Bończą panowie się znacie?

— A! bardzo dawno i dobrze! rzekł Roman.

Była to jakby przymówka złośliwa do tego, że nie mówili do siebie. Hrabiego Ildefonsa w istocie trudno teraz było wciągnąć do rozmowy, gdyż cała jego wielce wytężona uwaga, zwrócona była na Lolę i matkę, która go usiłowała zbliżyć do niej i wyzywała coraz słówkiem jakiem.

Ale nader ostrożny kawaler odpowiadał krótko i zapobiegając wszelkiej kompromitacyi, chciał być dla panny widocznie zagadką i tajemnicą.

Troskliwa matka naprzemiany cicho i głośno prowadziła rozmowę nieprzerwaną z gospodynią, pochlebiając sobie, że ją dowcipem i czułością swą zachwyci, chociaż w istocie do najwyższego stopnia tylko zamęczała. Chciała widocznie zawiązać stosunek poufały i serdeczny.

— Ty, kochana Baronówno, jesteś tak osamotniona, bez stosunków, bo chociaż wielce szacuję hrabiego Filipa, no, ale zawsze to mężczyzna a kobiecie kobiet potrzeba i kobieta ją tylko zrozumieć potrafi. Nie dziwże się iż z całego serca ofiaruję moją przyjaźń, pomoc sąsiedzką i posługi.

Lola dziękowała: w tem jakoś dano znać, że herbatę podano i całe towarzystwo przeniosło się do jadalnej salki, do wytwornie dosyć zastawionego stołu, u którego każdy zajął miejsce jakie chciał i mógł.

Nieczujski ostatni pozostałe zajął na swym końcu. Spoglądano na niego ciekawie, ale niepozorna jego postać nie zastraszała nikogo.

Siedział skromnie, nie odzywał się wcale i trzymał na uboczu, tylko Lola uciekała się doń czasem wzrokiem, jakby przed nim poskarżyć się chciała, użalić i od niego sił zaczerpnąć do nieznośnej tej komedyi życia. Wśród dwóch hrabiów i szanownego Bończy, sztywnych, wymuszonych, obrachowanych, nadętych, Nieczujski korzystnie odbijał męzką postawą, otwartą fizionomią i obliczem jasnem a pełnem męztwa i spokoju.

— Kto to jest ten pan? zapytała cicho hrabina Loli.

— Daleki mój krewny, z Poznańskiego—odpowiedziała gospodyni.

— Kto to taki ten jegomość? pytał Bończy hr. Ildefons pół głosem.

— Jakiś kuzynek zdaleka, z wizytą przybyły zapewne po pieniężną pomoc... odparł Bończa.

Hrabiemu Romanowi zawadzał także ten intrus bardzo, ale nie był obowiązanym zbliżać się do niego. W ogóle był dosyć osamotniony i łapał kose wejrzenia wymierzone na siebie.

Przy herbacie rozmowa mniej więcej była powszechną, gospodyni usiłowała w nią wciągnąć Nieczujskiego, który parę razy krótko odpowiedział...

Utrapione owo posiedzenie skończyło się przecie. W przejściu na powrót do salonu Bończa miał zręczność zbliżyć się chwilę do Hermy.

— Nieskończenie jesteście wszyscy zabawni, szepnęła mu figlarka. Widzę że pan za wygranę Romanowi dać nie chcesz, a oto i nowy rywal przybywa w hr. Ildefonsie.

— Nie straszny—odparł Bończa—lecz, co gorzej, jeśli Ildefons miał tę myśl, mogą ją powziąść i inni młodzi ludzie z sąsiedztwa. Będziecie panie miały najazd pretendentów i szturm do serca Baronównej.

— A! to będzie nadzwyczaj zajmujące! zawołała Herma... bardzo bym rada, ażeby się przepowiednia sprawdziła!

— A jakże pani nam wróży? zapytał Bończa.

— Ja wcale wróżką nie jestem... Lola dobra.. kochana, jest jeszcze dzieckiem, do serca jej zajrzeć bardzo trudno... a kogo wybierze sobie, tego nikt dziś nie odgadnie. Wiesz pan z mężczyzn kto jej dotąd najmilszy?

Bończa z niezmierną ciekawością pochylił się, aby tajemnicę usłyszeć.

— Kuzynek Nieczujski! śmiejąc się dodała Herma.

— Nie może być!! zdumiony odparł Bończa, pani żartujesz!

— Nic a nic, z nim mówić lubi, z nim jest najlepiej...

— Ależ przecie to nam nie grozi! zawołał kawaler boć to człowiek nie naszego świata.

Herma ruszyła ramionami.

— Cóż mówi o mnie? zapytał ciekawy.

— Najgorzej że wcale o panu nigdy nie wspominała...

— Nie było to najgorzej jeszcze—przerwał Bończa—lecz pani by ją powinna przez łaskę dla mnie wybadać.

— Nie przez łaskę dla pana, ale przez ciekawość, zapytywałam ją...

— I cóż? i cóż? natarczywie badał Bończa...

Rozśmiawszy się Herma, na wychodnem już do salonu, rzuciła mu w ucho.

— Ciesz się, stoisz na równi z hr. Romanem!

Po tej zagadkowej odpowiedzi pierzchnęła. Bończa wrócił do salonu mocno zamyślony. Tu prędko nadchodzący wieczór jesienny zmuszał gości do odjazdu, hrabina Bramińska, wylewając ostatki czułości na córkę najlepszej swej przyjaciółki zabierała się ją pożegnać, hr. Ildefons obliczał z sumieniem czy jakiego nierozważnego nie popełnił kroku... ruszono się z miejsca. Bończa rad nie rad wziął za kapelusz także. Tryumfujący ze swojego przywileju hr. Roman pozostawał, otrzymawszy plac nad nieprzyjacielem cofającym się w porządku ale z kwaśną miną.

Nie był jednak sam, gdyż zapewne w skutek danego znaku, Nieczujski pozostawał w saloniku i wziął się zaraz przysunąwszy krzesło do przeglądania albumów, jak gdyby one dla zabawy jego na stole rozłożone były. Herma dla zajęcia niespokojnych rączek miała szydełkową robótkę, Lola wyniosła jakąś kanwę rozpoczętą ogromnym deseniem. Wszyscy więc znaleźli sobie zatrudnienie, jeden tylko hr. Roman zostawiony własnemu przemysłowi nie bardzo wiedział co począć.

Jedynym talentem, jaki posiadał młodzieniec, który zresztą był także nieco muzykalnym, ale tu do wysokiego stopnia ćwiczeń swych nie posunął było rysowanie karykatur. Znano go z tego, a drażliwe postacie niektóre lękały się tego niewinnego ołówka, przedrzeźniającego je w dosyć pospolity sposób. W istocie karykatura jest pono najłatwiejszą do stworzenia z niewielką umiejętnością i dowcipem. Charakterystyczne rysy przesadzić potrafi nawet nieuk... pochwycić ich wyraz i uwydatnić umie tylko talent prawdziwy... Karykatura może być arcydziełem, ale znośną być może nawet, gdy jest bazgraniną.

Hr. Roman słynął ze swych karykatur.

— Powinien pan nam dać próbkę swego talentu odezwała się Herma... postaramy się o papier i ołówk rysuj pan nasze karykatury.

Romanowi pochlebiało to uznanie, bo on sam zbytnią nawet wagę przywiązywał do swego talentu, ale przychodziły mu te produkcie z ciężkością i improwizować ich nie umiał.

Skłonił się grzecznie.

— Nie przypisuję sobie tego daru, który mi pani przyznawać raczy, rzekł powoli cedząc, a nieśmiałbym w karykaturze przedstawić to co w ideale widzę.

— Ja się panu ofiaruję, bo ideałem nie jestem! zawołała Herma, rób pan moją karykaturę...

— Ja służę mu fiziognomią moją, dodał Nieczujski.

— A przedewszystkiem ja, śmiejąc się odezwała z kącika kapitanowa, ze mnie starej najłatwiejsza karykatura gotowa.

Namyślał się hrabia, znać było, że nie zupełnie się chciał bronić od popisu. Szło tylko o to, na kim miał sił sprobować.

Szczęściem Bończę i hr. Ildefonsa tyle razy rysował wprzódy iż obu ich umiał na pamięć, milcząc więc przysunął się do stołu. Herma żywo podsunęła mu Fabery i całą librę papieru... hrabia począł cedząc tłomaczyć się, że i karykatura wymaga natchnienia, że nie czuł inspiracyi i świętego ognia... ale począł coś kreślić.

Zdala przypatrywano się robocie. Tymczasem gdy był tą pracą zajęty, Nieczujski nieznacznie dobył małego w płótno oprawnego albumiku z kieszeni i ołówka, w książeczce swej także rysując. Z wejrzeń rzucanych ukradkowo na Romana, można było wnosić, że jeśli nie karykaturą to portretem jego się zajmuje.

Zdziwiły się panie, gdyż w nim wcale nie domyślały się artysty diletanta... Herma przypatrywała się obu z zajęciem. Roman zdawał się wytężać wszystkie swe siły na tę próbę, Nieczujski zamaszysto i swobodnie a pospiesznie dokonywał tajemniczej roboty...

Gdy hr. Roman pierwszy półarkuszek odłożył, ubolewając, że mu się nie udał rysunek, poszedł on po rękach.. Poznano w nim łatwo Bończę skarykaturowanego dosyć szczęśliwie, ale sucho i niewprawnie...

Herma winszowała, skromny autor ze spuszczonemi oczyma przyjmował pochwały i z większym zapałem brał się do drugiego... Nieczujski już rysunek swój wykończał... powolniej niepostrzeżony... Złożył książeczkę i chciał ją schować do kieszeni, gdy Lola pod stołem wyciągnęła po nią rękę.. Nieczujski się zawahał trochę.

— Jestem bardzo nędznym amatorem, szepnął podając swój albumik, nie ma tu co patrzeć. Obie z Hermą ciekawie przechyliły się nad szkicem.

Na całej stronicy zrobiony był dosadnie, wprawną ręką wizerunek nie skarykaturowany, ale prawie upiękniony i niezmiernie podobny hrabiego Romana, którego charakter, sztywność, krochmal, dystyngwowana maniera pochwycone były z niezmierną trafnością. Nie będąc karykaturą portret jednak zdawał się złośliwym, bo uwydatniał wszystkie słabości i wady pierwowzoru.

Ze szczególną miłością odrobioną była szpilka w chustce, i nieposzlakowany krój sukni... Herma zdziwiona o mało nie krzyknęła. Lola uśmiechnęła się i posmutniała nagle wpatrując się w wizerunek tej lalki. W tym portrecie był cały człowiek, można go było w jakim magazynie mód za szkłem na wzór wystawić. Wdzięczne rysy nic nie mówiące oddane były z dziwną prawdą i bezstronnością, ołówkiem nie kierowała namiętność, a jednak smutne to było...

Mimowolnie ciekawe rączki pań z cicha poczęły przewracać kartki już prawie szkicami zapełnionego albumiku. Były to jakby podróżne notaty z datami i oznaczeniem miejsc... Widoki chat, cerkiewek, kościołków, dworów, strojów włościan, typowe twarze, figury fantastyczne... ani na talencie ani na wprawie nie zbywało Nieczujskiemu, choć obojga dotąd nikt się nie domyślał.

Hr. Roman tymczasem szkicował pracowicie Ildefonsa... który mu się udał lepiej... Był on gotów gdy właśnie albumik przeglądać skończono i Nieczujski po niego rękę wyciągnął, ale Herma go zatrzymała, zaczęto chwalić bardzo Ildefonsa, lecz razem śmiać się z niego. W istocie był on zabity tym rysunkiem, który i podobny był i wielce śmieszny.

— Cóż pan powiesz na to, wtrąciła Herma, że ja tymczasem w czasie gdyś pan tych sąsiadów *exekwował (cest le mot)* zrobiłam pańską nie karykaturę ale skromny portret.

— Pani? mój? niespokojnie się rumieniąc zawołał hr. Roman, któremu nigdy na myśl nie przyszło, żeby i on mógł zostać karykaturą.

— Nie chwaląc się jednak, dodała Herma, byłam dla pana nieskończenie litościwszą niż hrabia dla tych panów.

To mówiąc ukazała mu Album. Roman który miał pewne sztuki pojęcie, zdumiał się nadzwyczajnie i zamilkł. Zdaleka patrzał na swój wizerunek i nie wiedział sam czy się gniewać czy dziękować.

Nie przyszło mu na myśl posądzać oń Nieczujskiego, bo tak był zatopiony w swych karykaturach, że go rysującym nie dostrzegł.

— Nie prawda że schwyciłam trochę podobieństwo? spytała złośliwie Herma.

— Ja o tem sądzić nie mogę, odparł nieukontentowany widocznie Roman, lecz muszę przyznać iż rysunek bardzo ładny.

Herma schowała Albumik pod stół, lecz przy oddawaniu go Nieczujskiemu nie uniknęła wejrzenia Romana, który widząc go przechodzącym do kieszeni młodego jegomości, spochmurniał jeszcze bardziej, ołówek rzucił i siadł w krześle nadęty.

— Nie wiedziałem, że pan jesteś artystą, szepnął niechętnie do Adolfa.

— Ja wcale nim nie jestem, odpowiedział Nieczujski, nie mam do tego pretensyi.

(d. c. n.)

Z Londynu do Liverpoolu

z podróży

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dalszy ciąg).

Łatwiej jednak chcieć umknąć jak dokazać tej sztuki. Żaden plan nie wskaże drogi z pomiędzy tego kłębka krętych ulic, uliczek i podwórz, tworzących tak zwane cul de sac. Liczba wozów tak wielka, ścisk pracujących tak cię bezustannie potrąca, iż wreszcie tracę głowę i nie wiem kędy wschód a kędy zachód, pytanie dość ważne w Londynie. Wreszcie zmęczony długiem błądzeniem spostrzegam, iż zaszedłem w jakąś uliczkę pełną pijanych i krzyczących majtków i kobiet. Cofam się z niej, bo tu nie trudno o guza, zwłaszcza gdy strój mój przyzwoity kieruje ku mnie powszechną uwagę.

To zapewnie załoga jakiegoś okrętu, trwoniąca funty zapracowane w dwuletniej podróży. Wyuzdane niewiasty i oszuści, na których nie zbywa nigdy w portowem mieście, cisną się dokoła pijanych majtków i oszukują ich lub okradają. Ci pozbywają się natrętów ciosami pięści, ztąd wrzawa i bójka.

Nie umiejąc odszukać drogi z tej uliczki, zapytałem o nią jednego z przechodniów. Wnet każda ręka na mą czyha sakiewkę, uważając mnie jako przedmiot na łup przeznaczony.

Jeden z zuchwalszych uliczników już do mnie się przysuwa i szuka ze mną zwady. Wiedząc co się święci, opieram plecy o mur domu i wołając z całej siły na policyę, wznoszę według wszelkich reguł pięść, którą umiem doskonale bronić mej osoby.

Wystarczyło to na pozbycie się natręta. Widząc iż spotkał człowieka, obznajomionego z niebezpieczeństwami tego rodzaju, umyka czem prędzej, zanim sługa prawa stojący o parę set kroków, zdołał przybiedz mi na pomoc.

Policyant pokazał mi drogę do owej części doków w której spoczywał okręt. Była to: *Agnes Rose*, statek, którym wróciłem z Australii przed rokiem, i z którego oficerami wiązała mnie przyjaźń, jaką zwykle wytwarza podróż długa morska i przebycia tychże samych niebezpieczeństw.

Ileż to szczerych uścisków dłoni i powitań i pytań zamieniliśmy po długiem niewidzeniu! Oni mnie pytają o Paryż, Szwajcaryę, wystawę wiedeńską, ja ich o Australią, z której właśnie wrócili. Jakżeż to miło usłyszeć, iż ten lub ów, którego pozostawiłem w nędzy, znalazł dobrą żyłę złota, iż północna Australia w około Port Darwin, w której i żywej duszy za mych czasów nie było, już tysiące żywi górników; niejaki John Wright, przyjaciel od serca, wiedzie tam rej zdolnościami i majątkiem zdobytym niedawno.

Większa część mych towarzyszów podróży z Sydnej do Europy, wróciła napowrót do Australii. Snać jak i ja zarażeni klimatem, bezsercowością i sztywnemi zwyczajami starego świata, woleli zemknąć pomiędzy bory z drzew przedpotopowych i stepy okryte trawą, z której człowieka nie dojrzysz, jak zbijać asfalty chodników w milionowych stolicach. Szczęść wam Boże, wy hardzi i pracowici pielgrzymi, którzy poświęciliście żywot by puszcze niedostępne prawie zmienić na siedlisko przyszłych pokoleń! Tam—zdala od okrzyków walczących i dział ryku, niech z Was wylęgną się narody, nieznające innej komendy jak „do pracy!"

Długo gawędziliśmy na pokładzie okrętu o dalekich krajach i ludziach, oddzielonych od nas przestrzenią oceanów. Zmrok zapadał, w pięknym salonie statku zapalono lampę; ustawiono na stole szereg butelek porteru i wina. Na cześć przyjaźni wychylamy czasze. Życzenia szczęśliwej podróży krzyżują się, bo za dni kilka ja obrócę lice ku Ameryce, a ostra pierś Agnes Rozy będzie pruła morze w kierunku południowym, niosąc tych dzielnych marynarzy napowrót ku uroczej przystani Sydneju. Obyście tam dojechali i wrócili ztamtąd szczęśliwie!

Są epoki w życiu ludzkiem, w których człowiek niby wędrowiec pnący się pod górę, zatrzymuje się na chwilę z upodobaniem i ogląda po za siebie, na przestrzeń już przebytą. Taką chwilą była dla mnie owa godzina, spędzona w salonie Agnes Rozy.

Gdy po wypróżnieniu pierwszych czasz milczenie zaległo złoconą komnatę, gdy kapitan wzdychał (pewno o młodej myśląc żonie, którą wkrótce musiał rzucać), porucznik marzył o starej matce, dla której utrzymania narażałnów życie na zdradnym pokładzie, sługa napełniający kubki patrzał przez otwarte okienko, ażali nie nadchodzi narzeczona, którą tego wieczora miał pożegnać na długo, i ja zadumany pozwalam obrazom przeszłości przesuwać się przed pamięcią. Najpierw widzę łany Podolskie i gaje Pokucia... Tam minął pierwszy akt tragedyi życia.

Upłynął wiek dziecinny i pierwsza młodość...

Szumią bałwany, w uszach brzmią komendy oficerów i odpowiedzi żeglarzy. Góry zbielone śniegiem ciągną się długiem pasmem po nad wyżynami, po których się roją ogorzałe, pół nagie, wygłodniałe postacie górników nowozelandzkich. Ciskają mi pod nogi bryły złota i wołają: chleba!...

Bezwodne puszcze, szarozielone bory, rzeki szerokie, stają przed oczyma. Tu murzyn dobija oszcze-

pem olbrzymiego kangura, tam jasnooki chłopak pędzi na rączym rumaku ze strusiem w zawody. Ryczą trzody, maszyny parowe tętnią i mielą na miazgę rudę złotodajną, okrzyki tłumów witają jakiegoś odkrywcę, wracającego z obfitym plonem złota z nieznanych dotąd krajów. Rozbite statki, poćwiertowane trupy przyjaciół, mogiły samotne na jasnych piaskach morskich i wśród ciemnych borów, wzrok mój rażą.

I zapadła zasłona po trzecim akcie. Znów szumi morze, świszcze lokomotywa. Wielkie grody, gwarne miliony mieszczan w wykwintnych strojach, dwory i postacie monarchów, tumy gotyckie, obrazy i rzeźby włoskie zdobią scenę. Łany niby ogrody, jeziora jak zwierciadła, góry jak piramidy ze srebra, tym wytworniejszy tworzą obraz im mniej dawno je widziałem. Wszystko to pożegnałem przed kilkoma dniami. Dziś siedzę w długiej wązkiej sali okrętowej. Wkrótce zaszumi żagiel, bałwany otrą się o boki statku i zapadnie zasłona na czwarty akt życia. Wiek męzki upłynął...

Jesień życia, akt piąty jego, gdzież i jak spędzę? Wiem gdzie jadę, lecz któż powie czy tam dojadę? Kto wie prócz Boga co ujrzę i co mnie spotka? Jaka katastrofa zakończy tragedję tułaczego żywota?

Mniejsza o to, byleby coraz nowe cuda Boże oglądać. Człowiek, cud ten największy, najtrudniejszy do zgłębienia, niech mi się przedstawia w jak najrozmaitszych okolicznościach, krajach, charakterach. Gdy wreszcie przyjdzie porzucić teatr świata i zamknąć powieki do wiecznego spoczynku, niech zagości myśl, iż byłem dobrym i bacznym widzem. Sam niezdolny lub nieskwapliwy do brania udziału w sprawach świata, patrzyłem na nie jednak nie obojętnem okiem i nie ograniczyłem się na ciasnym teatrze jednego kraju, lecz z kolei zwiedziłem rozmaite.

Jeszcze kilka scen—świat nowy Zachodu, garnący do swego łona wygnańców Europy i świat Wschodu przepełniony ludźmi o oliwkowych licach i mówiących jednozgłoskowem narzeczem,—a rad spocząwszy choć pod słomianą strzechą, dopiszę kilka kart do mych wspomnień. Cisnąwszy pióro mile powitam chrzęst wahadła, zapowiadający iż przyszła najważniejsza godzina żywota, chwila rozstania się ze światem.

Choć źle było za naszych czasów na świecie, lecz lepiej jak za czasów dziadów, a któż wątpi, iż wnuki lub prawnuki doczekają się królestwa bożego?

Wprawdzie nigdy nie braknie na nędzarzach głodnych i cierpiących, lecz czyż nie zjawi się z czasem więcej współczucia dla cierpień, więcej skwapliwości do padania dłoni tonącym, karmienia zgłodniałych? Czyż anioł miłosierdzia nie częstszym stanie się gościem pomiędzy nami. Wierzmy, że tak będzie; wszak wiara zbawia...

Późno było gdy rozstałem się z oficerami Agnes Rozy, i wśród krętych ulic szukałem wyjścia do rzeki, by statkiem powrócić ku zachodniej części Londynu. Przedarłszy się szczęśliwie przez tłumy majtków biesiadujących po ulicach, wszedłem w znany już zaułek. Krzyki murder! (zabójstwo) dolatują mnie z niego. Przy świetle gazowej latarni widzę kilku ludzi osmolonych, bijących dwóch marynarzy. Nie krzywdzeni, lecz krzywdziciele krzyczą *murder*, snać więc że Irlandczycy opadli majtków angielskich.

Wiedząc iż wmięszanie się moje nie wybawiłoby napastownych, a sam mógłbym oberwać guza, bo przemoc napastników zbyt wielka, wracam pędem ku jednej z głównych ulic, gdzie widziałem człowieka w granatowym mundurze i filcowym hełmie. Stróż prawa przechodzi się jeszcze w miejscu gdzie był przed chwilą, wołam go więc na pomoc.

Zanim poszedł za mną zakołatał w grzechotkę, w którą wszyscy tutejsi konstable zaopatrzeni. W dali widzę dwie olbrzymie i ciemne postacie, biegnące za nami.

Pomimo tej pomocy długo trwała bójka między policyą a Irlandczykami. Obawiając się by wedle prawa nie powołano mnie w pomoc i nie kazano mi wlec do kozy krnąbrnych synów Erinu, przyczem nowy mój surdut pewnoby utracił kołnierz i poły, umykam ku rzece, i dopiero gdy ujrzałem się na statku, oddycham swobodniej czystem nadwodnem powietrzem.

Od czasu ulepszeń londyńskich nie czuje podróżny na Tamizie owej woni, jaka trapiła powonienie w niedawnych latach. Olbrzymie kanały podziemne, obszerne jak tunele kolei żelaznej, wyprowadzają brudy Londynu daleko po za miasto i zamiast zanieczyszczenia rzeki skrapiają i użyzniają piaski nadmorskie. Woń wody i barwa jej o wiele się więc poprawiły, chociaż koła i śruby parowozów wiecznie ją mącą. Mianowicie koło mostków, mijając City, wygląda zawsze żółto i gęsto niby grochowa zupa.

Nazajutrz po wizycie do Agnes Roze udałem się do bióra w którem opłacają za przejazd do Ameryki. Skromne me fundusze każą mi jechać drugą klasą na parowcach, gdyż druga kosztowniejsza tam jak pierwsza na żaglowem. Za niespełna 10 funtów (400 złp.), dostaję bilet, dający mi prawo do czwartej części kajuty drugiego rzędu na statku Minnessota, opuszczającym Liverpool 17 Września 1873-go roku. Tenże bilet pozwala mi zabrać kufer ważący centnar, lub mający 10 stóp kubicznych objętości.

Gdy wielu ziomków, nie umiejących po angielsku często się w tę samą wybiera drogę, opiszę szczegółowo sposób zapewnienia sobie przejazdu z Londynu do Nowego Yorku tak, by jak najmniej mieć trudu i wydatków w drodze.

Z rozmaitych towarzystw przewożących i ogłaszających w dziennikach porę odjazdu statków, tylko dwa lub trzy posiada drugą klasę, w którejby za tanie pieniądze można się odgraniczyć od tłumu rubasznych i brudnych wychodźców irlandzkich i niemieckich, których tysiąc czasami opuszcza Liverpool na jednym okręcie. Większa część parowców posiada li kabiny pierwszego rzędu, w których przejazd kosztuje od 18 do 25 funtów, i tak zwany Steerage, czyli koszary podzielone na oddział dla kobiet i mężczyzn. Tam za 6 funtów karmią wychodźców jak majtków, wylądowując ich w nowym Yorku w koszarach rządowych, zkąd albo wyszukują sobie zajęcia albo wybierają się na Zachód w celu założenia gospodarstwa.

Te koszary, cały sposób obchodzenia się z wychodźcami, i rzeczywisty ich stan po przybyciu do Ameryki zbadam i opiszę w następnych listach. Teraz wracam do sposobu pojechania do Ameryki tanim kosztem, a w przyzwoitem towarzystwie.

Podróżni drugiej klassy, najczęściej młodzi ludzie obu płci, wybierający się do Ameryki, już to dla interesów, już to dla szukania chojniejszej zapłaty za swą pracę, lub osiedlenia się tam z małym kapitałem, dostają w biórze londyńskiem zapewnienie na łóżko z pościelą w kabinie (podróżni trzeciej klassy nie dostają pościeli), usługę i pokarm następujący:

Śniadania z herbaty, chleba z masłem i zimnego mięsiwa.

Obiady z zupy, mięsa solonego, jarzyn i pudingu angielskiego.

Wieczerze jak śniadania.

Trzy kwarty słodkiej wody dziennie do picia.

Katolikom dają solone ryby morskie, jeżeli pragną pościć w Piątek.

Komisarz rządowy przestrzega, by ta dość obficie wymierzona żywość dostawała się na stół podróżnych. Co do nadzoru to ogromny ład panuje pod tym względem na statkach angielskich. Wychodźcy z Liverpoolu i innych portów Wielkiej Brytanii, nigdy nie doznają głodu i uciemiężenia ze strony kapitana i załogi, na jakie słusznie narzekają emigranci z Bremen, Lubeki, a nawet Hamburga.

Władze w Nowym-Yorku opiekują się dość troskliwie przybyszami zakwaterowanemi w koszarach. Niestety wielu emigrantów, mianowicie niewładających językiem angielskim, jak np. chłopi z Poznańskiego, nie idą do koszar lecz tulą się po domach zwanych *boarding* house, czyli zajazdach amerykańskich najniższego stopnia. Niedziw iż tam wpadają w szpony bezsumiennych Yankesów i bywają często ogołoceni z ostatniego grosza. W nadziei, iż może który z przyszłych wychodźców poznańskich i pruskich przeczyta me listy, jak najdokładniej wyliczę za przybyciem do Nowego Yorku jakie go tam oczekują niebezpieczeństwa. Tymczasem nie rozpisuję się o rzeczy, którą dotąd nie naocznie lecz z opowiadań poznałem.

Oprócz biletu na statek, dają mi w biórze inny na kolej żelazną do Liverpoolu. Kto nie zaniecha wzięcia takiej karty w biórze emigracyjnem, zajedzie z Londynu do zachodniej stolicy Anglii za pół ceny. Kufry jego przeszlą wprost na statek z dworca kolei. Jestto wielkie ułatwienie dla podróżnych nieznających języka, gdyż odszukiwanie i przewożenie tłomoków sprowadza zwykle dużo wydatków, straty czasu i przykrości.

Schowawszy do kieszeni oba bilety, wracam do domu i rozmyślam po drodze jak zabić pięć dni czasu, pozostających do przyszłego Wtorku, dnia mego odjazdu. Chciałbym obejrzyć rzeczy, mniej znane u nas by nie mówić w mych opisach o przedmiotach lepszemi piórami przedstawionych.

Gospodarz zaleca mi bym poszedł na wystawę niemowląt.

— Wystawa niemowląt?! cóż to za nowy pomysł.

— Pewne towarzystwo spekulantów daje nagrody za okazanie najpiękniejszych dzieciątek. Matki posyłają więc tam swe niemowlęta, a publiczność ciśnie się, by je oglądać i sądzić o ich piękności.

(d. c. n.)

Pogadanka.

Czasem człowiek dziwne ma pragnienia: ja np. chciałbym być... koniem ale koniecznie warszawskim. Roźmiejecie się zapewne z tak dziwacznej zachcianki?... Posłuchajcież!

Gdybym był koniem, nie lękałbym się zdarcia skóry żywcem, do żłobu nie wsypanoby mi stęchłego owsa, bronionoby od wszelkich nadużyć i staranoby się, aby ubranie na mnie było zawsze wygodne i pozorne. Dogodności to nie małej wagi. Towarzystwo opieki nad zwierzętami bardzo pilnie niemi zajmuje się i nie ma dnia prawie, aby swej staranności nie dało dowodu. Jako człowiek nieraz tęschne do nich przesyłam westchnienia... napróżno.

Nie chciałbym być jednak skowronkiem, co już przywędrował na łany polne w uścisku zimy drzemiące, ani gęsią dziką wybiegłą z oparzelisk wodnych, ani motylem lub niedoperzem ze snu ocknionemi, ani okazem ludzkim niesionym na plecach przez nowego Blondyna po linie wyciągniętej na Niagarze, ani impresariem pani Patti ugodzonej za milion przeszło franków za sto występów w Ameryce, ani panem Szlesingerem uznanym za dostawcę partackiej maszyny do szycia, ani wreszcie owym umarłym w Peszcie, który wieziony już na miejsce wiecznego spoczynku, nagle wydobył się z trumny, z wielkiem przerażeniem woźnicy i zebranego tłumu. Jeżeli przytem

był tyle nierozważnym, że zostawił po sobie bogaty spadek, to znalezienie się jego tym bardziej godne nagany. Kto to słyszał w dzisiejszym rachunkowym czasie, takim brutalem okazać się dla swych spadkobierców!—Pozytywiści warszawscy, jeśliby go nie ukamienowali, to z pewnością odesłali do domu waryatów. Idąc dalej w tych pragnieniach dziwacznych, chciałbym być owym potulnym chłopkiem, co w prostej sukmanie skromny, pokorny, złożył pół miliona złotych w depozycie w jednej z kas warszawskich, a podziękowałbym za zaszczyt należenia do zamożniejszej klasy na Kaszubach polskich, których nagle poruszono do zakładania czytelni dla ludu wiejskiego i starania się o kupowanie i rozdawanie książek odpowiednich. Zbytek to niepraktykowany, bo jeżeli według utartego wyrażenia, nikt z książki dobrym rolnikiem nie zostanie, bo i rozumu z książki nie nabierze. Gdybyśmy przynajmniej byli tak bogaci, jak pewne towarzystwo w Londynie, które nie wiedząc co z oszczędzonemi funduszami robić, po długiej naradzie postanowiło żydów nawracać do chrystyanizmu; byłoby to jeszcze jako tako. Nieubłagany jednak rachunek, pobożną tę czynność zniweczył. Obliczono bowiem, że każdy nawrócony Izraelita kosztuje przeszło 40,000 rubli, jedno więc z pism kościelnych bardzo słuszną zrobiło uwagę, że dusze tak drogo nabywane lepiej zostawić dyabłu, a pieniądze wyrzucone na ich nawracanie, obracać na zdobywanie chrystyanizmowi pogan nie w Afryce, Azyi lub Ameryce, ale... w samej Anglii, a przedewszystkiem w Londynie, ginących z głodu już za życia, a brakiem religii, dokupujących się piekła w przyszłym żywocie.

Wracając do poglądającej już ku nam wiośnie, mimowoli nastręcza się pytanie, czyby to rzeczywiście był jej przedświt, żegnający zimę bezpowrotnie?

Na Ś-go Grzegorza rzeki płynęły do morza, dzień czterdziestu męczenników obdarzył nas pogodą zwiastującą, według przepowiedni, tyleż dzionków słonecznych, że jednak dotąd we wszystkiem co nas pocieszyć może, spotykaliśmy się z samemi tylko zawodami, ostrożność nie zawadzi. Czy więc to już wiosna czy zima, jeszcze nie wiadomo, jak jest wątpliwem, czy okrzyczana powieść Wiktora Hugo Rok 93, o którą trzy pisma na wzór miast Grecyi kłócących się niegdyś o Homera, stoczyło zawziętą walkę, jest dopiero prologiem czy samą powieścią? Jest także równie ciekawem, czy obecny sezon opery włoskiej, jest ostatnim jak głoszą niektórzy, czy też pojawi się w roku przyszłym z lepszem niż dzisiaj wyczerpaniem głosu: czy reżyserya naszych teatrów upamięta się w wyborze sztuk obcych.

Gwałtowne przewroty w naturze przypadłe w ubiegłym miesiącu, trzęsienia ziemi, zorze magnetyczne, zamiecie śnieżne we Włoszech, przedwczesne ciepło w Alpach i Apeninach, straszliwe orkany w Hiszpanii, niszczące drogi żelazne i wysuwające rzeki z łożysk, robią przypuszczenie, że tak pożądany przewrót dotknie i nasz teatr, mamy jednak nadzieję, że kataklizm podobny ominie nas, a przynajmniej że wiele wody w Wiśle upłynie, zanim Teatra nasze będą tem czem być powinny.

Wśród tych niepewności dokuczliwych, przynajmniej to nie ulega wątpliwości, że z odczytów mianych na różne cele, przedmiot obrany przez p. Faleńskiego o fraszkach Kochanowskiego, był najwięcej pożądanym, a niezmiernie zaciekawiającym, poparty doświadczeniami przez p. Milicera. Pierwszy przemawiał do serca i rozumu, drugi bogacił umysł zdobyczami nauki, zmuszając myśl do rozwagi i zastanawiania. Oba zaś dali przykład wyboru przedmiotów i sposobu ich przedstawienia; pierwszemu przyklasnęła więcej wybrana publiczność, drugiemu ciekawsza i żądna nauki.

W Towarzystwie muzycznem spotkaliśmy się także z nowością, bo z utworem nowym p. Statlera sonatą na skrzypce i fortepian. Młody ten kompozytor dał się już dawniej nam poznać z utworami religijnemi i piosnkami lżejszej formy na chór męzki. Ułożył także kilka utworów na sam fortepian, we wszystkich tych kompozycyach znać talent, znać porywy młodej duszy, pnącej się ku wyżynom sztuki. Oryginalności w nich nie brak: rozsypana ona jest jak drogocenne perełki, tylko trzeba czasu i pracy aby skupiona wytrysła z całą swobodą młodzieńczego zapału. Towarzystwo ułatwiając publikacyą sonaty i innych utworów p. Statlera a tem samem dając zachętę, spełnia godnie zadanie swego założenia.

Wśród jednak tych pochwał, wątpliwości i niewiadomości, podnoszą się i skargi bardzo dziwaczne. Oto Kaliszanin skarży się, iż pomimo zwiększonej szybkości przewozu pism peryodycznych, takowe późno bardzo dochodzą do prenumeratorów. Zbyteczne to wymaganie, prędzej należy się dziwić, że dochodzą w całości nie podarte i nie poplamione jak że opóźniają się w podróży. Przysłowie o kurze i grzędzie widocznie w znaczeniu swem nie chce się przestarzeć.

Skarży się także Argus korespondent Gaz. Polskiej z Częstochowy, na niewłaściwość przedmiotów obranych do dwóch wykładów publicznych, jakie się w tem mieście odbyły. W pierwszym przedstawiono teoryą Darwina o pochodzeniu człowieka, w drugim teoryą powstania ziemi według Laplace'a. Człowiek i ziemia to nieprzelewki! Już tysiące lat mędrcy wszystkich wieków suszą sobie głowy nad ich początkiem i przeznaczeniem, wprawdzie napróżno, cóż więc dziwnego że nowożytni ozłoceni polorem pozytywizmu warszawskiego, postanowili kwestyą tę rozwiązać w godzinnych pogadankach z publicznością Częstochowską. Korespondent narzeka na szkodliwe obałamucanie nieprzygotowanych umysłowo, wywodem przypuszczeń naukowych, na sponiewieranie skromności młodych słuchaczek, zbyt szczegółowemi argumentami dowodzenia.

Widocznie zacofana to jakaś sztuka z tego pana Argusa. Cóż nas może obchodzić obałamucanie niedojrzałych, lub rumieniec wstydu słuchaczek! Kto nie dojrzał niech wygrzewa się na słońcu jak melon lub arbus to dojrzeje, jeźli zaś przyjdzie w zgniliznę moralną, cóż to nas obchodzić może! Alboż to nie ma kodeksu i domów karnych? Co do rumieńców dziewiczych, to stare dzieje razem z niemi godne wyśmiania i.. pogrzebu. Z pyłu mogilnego, jak twierdzi Przegląd tygodniowy, nie wydobywajmy umarłych, godni oni czci... zapomnienia.

Skarży się wreszcie korespondentka Gaz. Polskiej na Amerykę, wystawiając jej mężczyzn jako cielców złoty ch, kobiety jako bachantki, dzieci jak małych szatanów, rodziców jak potworów, a wszystkich wreszcie jak ostatnich moralnych nędzarzy, toczonych i już stoczonych gangreną bez ratunku. Geniusz to olbrzymi, jakiego rzeczywiście ziemia dotąd nie wydała, gdy bowiem dla poznania *jednego tylko człowieka*, przysłowie każe z nim zjeść beczkę soli, korespondentka z całą ludnością Ameryki przeżywszy zaledwie trzy miesiące, już ją zna tak dokładnie, że nie ma dla niej nic tajnego ani wątpliwego. Pokazuje się, że krótkookich... w myśli i pojęciu najwięcej na świecie!

NAMIĘTNOŚCI

WEDŁUG

NAJŚWIEŻSZYCH PRAC DOKONANYCH

W DZIEDZINIE

FIZYOLOGII I HISTORYI NATURALNEJ

przez

Ferdynanda Papillon.

przełożone przez **B. J**

(Dalszy ciąg.)

I. *The Expression of the emotions in man and animals*, by Ch. Darwin, 1872. — II. *La physionomie et les mouvemens d'expression*, par M. Gratiolet, 2-me édition, 1873. — III. *La Contagion morale*, par le D-r. Prosper Déspine, 1871. — IV. *Le coeur et le cerveau*, par. M. Cyon, 187a.— V. *Physiologie des passions*, par M. Letourneur 1869.

Prócz powyższej melancholii istnieje inna, wynikająca z przyczyn lepiej określonych, to jest z uzasadnionych zmartwień i kłopotów. Nieszczęścia majątkowe, ambitne dążenia, zawody miłosne, bywają zazwyczaj powodem tego rodzaju smutku, który będąc daleko silniejszym niż smutek czysto filozoficzny, powoduje często nader ważne zaburzenia organiczne. Albert Dürer upada pod brzemieniem smutku jakim żona zatruła mu życie,. Kepler umiera jako ofiara gorzkiego losu. Najzwyczajniejszem źródłem podobnych melancholii, jest nieszczęśliwa miłość. Ona to trapi i do rozpaczy przywodzi pannę de Lespinasse; dręczy czystą duszę Pameli; zabija piękną Tomassynę Spinola, na wieść o śmierci Ludwika XII i lady Karolinę Lamb, wracającą z pogrzebu Byrona. Obie te kobiety przez długie lata ukrywały w sercach jedna pełną rezygnacyi rozpacz wynikającą z niemożebnej miłości, druga gorzkie wspomnienie miłości wzgardzonej, ale żadna nie mogła przeżyć utraty ukochanej istoty: była to boleść przechodząca ich siły. W innych wypadkach osoby w podobnem znajdujące się położeniu, nie są w stanie tak długo je znosić, i namiętność tak gwałtowne czyni spustoszenia, iż następuje nader prędkie rozprężenie organizmu.

Ileż to się razy zdarza, iż doktór wezwany jest do chorego którego trawi smutek i udręczenie, choroba nie wypływa z dających się oznaczyć przyczyn organicznych, lekarstwa nie skutkują i chory zapada coraz ciężej, tając zazwyczaj powód swego cierpienia. W takich razach, lekarz powinien śledzić bacznie, czy w duszy pacyenta nie kryje się jakaś namiętność wywołująca rozprężenia i złe funkcyonowanie organizmu, oraz ubezwładniająca działanie lekarstw. I najczęściej odkryłby ją niezawodnie, jak to poświadczyć mogą przezorni i sumienni lekarze.

Często także się zdarza, że melancholik zbytecznie przygnębiony brzemieniem boleści, nie jest w stanie doczekać godziny śmierci, i taki jest początek samobójstwa. Tak dzieła medyczne jakoteż różne książki i pisma, zapełnione są opisami samobójstw już to rzeczywistych już fikcyjnych, spowodowanych przez nieszczęśliwe namiętności. Można się unosić i uwielbiać rzewność i dramatyczność tych opowieści, przyznać jednak trzeba, że samobójstwo samo w sobie jest wynikiem stanu chorobliwego. Przyczyną jego jest zupełne spaczenie instynktu zachowawczego, a ponieważ mieści się on w pewnej części mózgu, można zasadniczo przypisać przyczynę samobójstwa pewnej dezorganizacyi mózgowej, nie bezpośredniej, ale prędzej czy wolniej przysposobionej, przez jakieś ogólniejsze rozprężenie.

Podobne usposobienie może się powoli wyrobić pod wpływem urazy, nienawiści i gniewu. Uraza jest to namiętność głucha, w milczeniu przeprowadzająca swoje zamiary. Nienawiść milczy lub objawia się przeklinaniem i złorzeczeniem. Gniew miewa chwile przesilenia. Niechęć i uraza są przykre, nienawiść bolesna, gniew nieznośny, zemsta zaś jest pewnym rodzajem rozkoszy. Przyrównano ją do uczucia pragnienia, aby oznaczyć zarazem jak namiętność ta jest, gwałtowną i jak słodkiem jej zasycenie. I tak jestniestety! Gdy gniew i żądza zemsty nadymają żyły, zapalają twarz, błyszczący blask nadają oczom, ręce sztywnieją, a zbłąkany umysł często do zbrodniczych posuwa się czynów, dusza jednocześnie uczuwa jakąś radość, jednak krótkotrwałą tylko, a po chwilowem podbudzeniu sił następuje przygnębienie, a jeśli się to często powtarza nic nie różni się od tłumionej urazy lub ukrywanej nienawiści. Człowiek często unoszący się gniewem, narażony jest na prędkie nadwerężenie organów, lub nawet na śmierć w przystępie złości.

Śmierć następująca w podobnych okolicznościach nie jest rzadkim wypadkiem, jak tego dowodem historya ubiegłych wieków i roczniki tegoczesnej medycyny. Iluż to doktorów podało opisy śmierci spowodowanych gwałtownem wstrząśnieniem mózgu, skutkiem uniesienia się gniewem. W takich wypadkach następuje zazwyczaj kongestya do płuc i mózgu, takie zdarzenia są wyjątkowe, ale w ogóle gniew i nienawiść zwolna lecz niemylnie niszczą organizm i podkopują życie.

Jakież tedy są objawy chorobliwe których źródłem jest nieszczęśliwa miłość, zawiedziona ambicya, gniew lub nienawiść, a które kończą się już to ciężkiemi chorobami chronicznemi, już to śmiercią lub samobójstwem? Zdaje się iż wszystko rozpoczyna się od zaburzeń w ośrodkach mózgo-rdzeniowych. Ustawiczne ich podbudzanie przez nieustanne wzruszenie, wywołuje sparaliżowanie centralnej substancyi nerwowej, i przeszkadza tym sposobem zupełnemu połączeniu się tejże substancyi z nerwami dochodzącemi do organów. Wtedy nerwy te powoli osłabiają się i psują, i wielkie funkcye przestają odbywać się regularnie. Serce i płuca przestają funkcyonować według normalnego rytmu, cyrkulacya staje się wolniejszą i nieregularną. Apetyt słabnie, zmniejsza się wyziewana ilość kwasu węglowego, a włosy bieleją skutkiem powstrzymania wydzielania barwnika. Temu ogólnemu zaburzeniu odżywiania i wszelkich wydzielań, towarzyszy obniżenie temperatury ciała i anemja. Ciało wysycha a organizm staje się coraz mniej zdolny do oparcia się przyczynom stanu chorobliwego. Jednocześnie, i skutkiem odbicia się o mózg wszelkich tych perturbacyi, władze psychiczne słabną lub psują się, i chory zapada w wycieńczenie mniej wiecej groźne, skomplikowane z groźnemi przypadłościami. W takich to okolicznościach chory umiera lub odbiera sobie życie.

Podczas tych zwrotów patologicznych, dwa organa bywają często dotknięte w sposób szczególniej charakterystyczny; organami temi są: żołądek i wątroba. Zmiany zachodzące w innerwacyi pod wpływem wstrząśnienia mózgu, wywołują rzeczywiście zaburzenie w krążeniu krwi w wątrobie, a to do tego stopnia, że żółć wydzielająca się w wielkiej ilości jest pochłaniana przez krew, zamiast dochodzić do pęcherzyków żółciowych. W takim razie wywiązuje się żółtaczka. Skutkiem obecności we krwi zabarwiających materyi żółciowych, skóra sinieje a następnie żółknie. To uszkodzenie wątroby zazwyczaj rozwija się powolnie, niekiedy jednak żółtaczka objawia się nagle. Villeneuve podaje fakt, iż skutkiem kłótni, dwóch młodych ludzi pochwyciło za szpady, w tem nagle jeden zżółkł jak cytryna, a drugi przerażony tem, upuścił broń z ręki. Tenże autor mówi iż pewien ksiądz, widząc iż pies wściekły rzuca się na niego, nagle dostał żółtaczki. W każdym razie uczucia bolesne dotykające duszę, zaliczają się do przyczyn powodujących chroniczne choroby wątroby.

Trawienie, mówi Beau, w swojem przed kilku laty ogłoszonem dziele „*Traité de la dyspepsie*" zależy najzupełniej od stanu moralnego i umysłowego. Gdy mózg zmęczony jest namiętnościami, apetyt i trawienie prawie ustają. Tak więc wszelkie przyczyny smutku i przerażenia, oddziaływają także mniej więcej szkodliwie na żołądek. W czasach panujących epidemi, w epokach wojen domowych i wszelkich wstrząśnień społecznych zagrażających ludziom niezwykłemi niebezpieczeństwami, pojawiają się nader liczne i groźne choroby, wynikające ze złego trawienia. Słabość ta przeważa po większej części wśród rozlicznych symptomatów osłabienia i niknięcia, powstających skutkiem cierpień moralnych. Bezpośrednie patologiczne następstwa, zboczenia w odżywianiu którego zasadniczą oznaką jest złe trawienie, są nadzwyczaj groźne i niebezpieczne, nie ulega wątpliwości że do nich zalicza się i rak—i dla tego to Antoni Dubois mógł powiedzieć: że przyczyna raka leży w mózgu.

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

O NIEKTÓRYCH DZIEŁACH

WYDAWNICTWA PRZEGLĄDU TYGODNIOWEGO

przez L.

(Patrz Nr. 51 z roku z.)

(Dalszy ciąg).

7, Dzieje moralne kobiet przez Ernesta Legouvé (prze) tłomaczyła Jadwiga Trzcińska 3 tomiki.

3. Jako dowodu wypowiedzianego przez nas powyżej twierdzenia, według którego wina nadużyć, popełnionych przez mężczyzn na kobietach, w części lub nawet całkowicie spada na same kobiety, jako dowodu użyjemy obszernie przez autora rozbieranej kwestyi nacisku, jaki wywierają rodzice w wyborze męża nawet na pełnoletnie córki. Musimy tu przypomnieć, że jak niegodziwe postępowanie mężów z żonami bywa często winą tych ostatnich; jak są kobiety, które szlachetnymi i godziwymi środkami umieją nakazać szacunek i krzywdzić się nie dadzą, tak i tutaj ma miejsce coś podobnego. Oto np. rodzice odmawiają swego zezwolenia na wybór, który uczyniło serce córki. Bez wątpienia jest to nadużycie, gdyż ani boskie ani ludzkie prawa, ani sama miłość naturalna rodziców ku dzieciom, nie pozwalają im deptać najświętszych uczuć córki i zadawać jej męczarni najdotkliwszych dla czującej i kochającej istoty. W Rosyi prawo wyraźnie bierze pod swą opiekę pełnoletnie córki, i zabrania rodzicom wszelkiego oporu jej woli zakazu równie jak przymusu; według zaś obowiązującego we Francyi i u nas kodeksu, wprawdzie córka dla wstąpienia w związki małżeńskie potrzebuje zezwolenia rodziców, ale w razie odmowy tych ostatnich, może ich wezwać o to na piśmie, a potem już postąpić według woli. Wszelako prawo prawem, a niewola niewolą. Ileżto razy rodzice nadużywają swej władzy, odrzucając wybór córki w imię już to troskliwości, większego doświadczenia lub innych powodów? Mówią zwykle: co ma począć córka w takim razie? Trudno iść przeciwko woli rodziców, trudno szukać przeciwko nim opieki prawa; niekażda zgodzi się na wykradzenie lub ślub potajemny itd. My cokolwiek inaczej zapatrywalibyśmy się na tę kwestyą. Zdaje się nam, że panna dojrzała, pewna swego uczucia i nie w słowach tylko, jak się mówi umiejąca stanąć w jego obronie, nie powinna i nie może dopuścić, ażeby zadawano gwałt jej sercu i chyba jakiś kaprys przelotny, upodobanie powierzchowne może uledz naciskowi i poddać się zakazowi. Rodzice znają dobrze swoje dzieci i wtedy pewno najwięcej opierają się, gdy podstawy uczuć nie zdają się im trwałemi, gdyż w przeciwnym razie, trudno przypuścić ażeby rodzice, jakiemikolwiek kierują się rachubami, mogli być wrogami własnego dziecka. Prawdziwe uczucie przenika całą istność młodej osoby i gdzież są rodzice, którzy obojętnie, dla jakichś tam widoków, mogliby patrzeć na swoje dziecko więdnące, schnące, niknące widocznie, spędzające noce w męczarniach? Zapewne są wszędzie wyjątki, nie brak może na świecie i rodziców dręczycieli, ale więcej pewnie córek wrzekomo zakochanych, które dość obojętnie i pogodnie, nieraz przez długie lata, znoszą gwałt rodzicielski. Czy to heroizm? Zdarza się i to zapewne, ale niestety, w większej części wypadków, łatwo poddająca się zakazowi miłość bodaj że nie jest miłością. Kto poddaje się zakazowi, ten może usłuchać i przymusu: gdyby bowiem córka umiała wobec nieubłaganych rodziców okazać się wytrwałą i nieugiętą, nie skazywaliby oni jej na wieczne panieństwo; w braku zaś należytej energii z jej strony, występują ze swoim *veto* w nadziei, że równie łatwo potrafią ją zmusić do innego związku.

4. Wspomnieliśmy, że autor nasz czasami zbyt już gorąco broni swej sprawy; ztąd wpada niekiedy w przesadę, wystawia fakta w dziwnem świetle lub nawet używa sofizmatów. Tak np. średniowieczny obyczaj platonicznych miłostek rycerzy z cudzemi żonami i żartobliwe wyroki tak zwanych trybunałów miłości, doprowadzają autora do tego wniosku dziwnego, jakoby w czasach rycerskich „mąż nie miał prawa kochać swojej żony" (Tom II str. 84).

Dalej znowu mówiąc o religijnych i cywilnych ustawach małżeństwa, autor uznaje za możliwą ich odrębność, przypuszcza różnice a nawet sprzeczności (tamże str. 101), nie zwracając uwagi na trudność jaką nastręcza pytanie, której z tych dwóch przeciwnych ustaw słuchać należy? Czy tej, której wykonawcy mają większą siłę, zmusić mogącą, czy tej, której sankcyę ludzie wierzący uważają za wyższą? Gdzieindziej znowu autor rozpływa się nad kobietami upadłemi, podziwiając ich zdolność do miłości i przytacza fakt wrzekomo statystyczny, że na 20 młodych dziewcząt uwięzionych za kradzież, 19 dopuściło się tego występku dla swoich kochanków (T. III str. 96) Podobnież wysławia autor urządzenia opactwa Fontevrault, które mieściło w sobie zakonnice i zakonników, władzę sprawowały pierwsze, a drudzy byli raczej ich sługami i robotnikami! Wyznajemy, że podobne instytucye niebardzo nas budują pomimo nawet z lubością przytaczanej przez autora listy ksień, które rządziły zakonnikami i układały nawet dla nich statuta (T. III str. 142). Podobnych sofistycznych i rażących ustępów niemało w całem dziele; na próbę przywiedliśmy jedynie te kilka.

Nakoniec co się tyczy polskiego przekładu, nie jest on przynajmniej tak lichym, jak poprzednie; można nawet nazwać go wcale dobrym. Trafiają się wprawdzie i tutaj błędy, ale nie tak grube i nie tak liczne jak gdzieindziej. Przytoczymy kilka takich z I tomu. Tak np. niełatwo zrozumieć co ma znaczyć: „Diderot poniżał kobiety samą właśnie wolnością" (str. 5). W następującym okresie: „wszystkie jego argumenta dowodziły nie *konieczności usunięcia żony* od *despotyzmu męża* ale *konieczności dostarczenia*" itd. (str. 9) znajdujemy aż 7 wyrazów w 2 przypadku po sobie idących. Nie polski jest taki zwrot:

„dwie trzecie życia kobiety przechodzi na nieposiadaniu jeszcze lub już tych uroków" itd. (str. 12), albo inny znowu na str. 15, gdzie „*plan* (dzieła) *jako historya* dowodzi itd.; jako *sumienie*... jako *natura*" itd. (sądzimy że plan nie może być ani historyą, ani sumieniem, ani naturą). „Dorobkowiczowe" (str. 70) ma znaczyć kobiety, które się dorobiły wykształcenia. Na str. 116 czytamy: „zaprzeczyć ten przywilej" a na 130: „języki ludzkie nie posiadają dość silnych wyrażeń na *wypiętnowanie* jej."

(d. c. n.)

Rocznik odkryć i wynalazków z roku 187²/₃ oraz kalendarz i część informacyjna na rok 1874. Warszawa staraniem i nakładem redakcyi czasopisma „Przyroda i Przemysł" in 8-o.

Z pomiędzy licznych, różnego rozmiaru i wartości kalendarzy i roczników, jakie na rok bieżący wydane zostały tak w Warszawie jak w innych znaczniejszych miastach naszych, niezaprzeczenie jednym z pożyteczniejszych i odpowiadających potrzebom ogółu jest *Rocznik odkryć i wynalazków*.

Jestto książka naukowa, a chociaż głównie specyalistów interesować może, wszelako i dla profanów posiadających przynajmniej elementarne wiadomości z nauk przyrodzonych nie tylko obojętną być nie może, lecz owszem bardzo i bardzo przydatną, gdyż dowiedzą się z niej, jakie, w czem i przez kogo dokonane zostały odkrycia i wynalazki w każdej z główniejszych gałęzi nauk ścisłych. Celem bowiem Rocznika jest przedstawienie obrazu „postępu nauk przyrodniczych i ich zastosowań."

Jeśli u nas nawoływania do poważnej pracy naukowej nie są daremnemi, jeśli szczerem jest zamiłowanie nauk przyrodzonych, i bynajmniej niepodobnem do mniemanego zamiłowania muzyki, to nowość tej publikacyi ocenioną zostanie, jak na to zasługuje, i pozyska uznanie, które dozwoli jej rozwinąć się i udoskonalić.

W krajach, gdzie nauka stoi wysoko, każda prawie gałęź wiedzy ma swoje specyalne pismo peryodyczne, u nas z małym wyjątkiem czasopisma naukowe utrzymać się jeszcze nie mogą, miejmy więc chociaż *Rocznik*, który z początkiem każdego roku zapozna nas w streszczeniu, jakie zmiany i ulepszenia zaszły w naukowych systematach, jakie poczyniono odkrycia i opierające się na nich wynalazki, wreszcie, w jaki sposób zastosowano je w praktyce.

Rzeczy te, jak powiedzieliśmy, nie mogą być obojętne dla każdego ukształconego człowieka, cóż dopiero mówić o ludziach, którzy z obowiązku swojego powołania powinni być *au courant* tego co się dzieje w naukowym świecie i w życiu praktycznem; cóż mówić o nauczycielkach i nauczycielach, którzy bądź w szkole, bądź w domu zwykli być wyrocznią, dla swoich wychowańców. Dziś szybko żyjemy, nauka też szybkie czyni postępy. Kto przed parą dziesiątkami lat miał się za dostatecznie uzdolnionego w pewnym przedmiocie, jeśli poprzestał na tem, co mu w szkole lub uniwersytecie wyłożono, i jak to mówią zależał pole, dziś nazwać się może prawie nieukiem, powtarza stare, zapomniano hypotezy, używa wyrazów technicznych, które innemi zastąpione zostały. Dziś np. nikt nie rozprawia o cieplik (ciepłe), świetle, elektryczności i t. d. jako o *istotach nieważkich*, które w najlepsze kursowały przed dwudziestu laty.

Na prowincyi tymczasem święcie trzymają się wyniesionych ze szkoły wiadomości, i zamykają oczy przed wszelkiem *nowatorstwem*, aż w końcu spotka ich upokorzenie od tych samych, których w początkach byli nauczycielami.

Piszący to sprawozdanie osobiście miał sposobność przekonać się o tym konserwatyzmie naszej prowincyi, gdy znajdując się w jednem z miast lubelskich napomknął w potocznej rozmowie *o analizie spektralnej*. Obecny tej rozmowie p. profesor nauk przyrodzonych, wzruszył ramionami dając do zrozumienia, iż zna się na *blagach warszawskich*, dopiero gdy otrzymał szczegółowe objaśnienie naukowe ze wskazaniem książek, gdzie o tem wszystkiem przekonać się może, zwiesił biedak głowę, przyznając się szczerze, że nic o tem nie słyszał, a przecież byłto człowiek wykształcony i w swoim zawodzie za wielce zdolnego uważany.

Rocznik odkryć i wynalazków na rok bieżący nie ogarnął wszystkich gałęzi nauk ścisłych z powodów, które niezupełnie zasługują na uwzględnienie; dał nam tylko sprawozdania z postępu, *astronomii, fizyki, geografii, chemii organicznej i stosowanej medycyny i biologii.* Niedostateczność tę wynagrodził za to wybornem *słówkiem o odkryciach i wynalazkach*, oraz przed każdym z wymienionych działów krótkim wstępem, w którym dla mniej obeznanego z przedmiotem treściwie podaną została jego historya. *Pogląd na wystawę Wiedeńską*, zwykła *część kalendarska i informacyjna* kończą te nową, i tak na czasie będącą publikacyą, jak najlepszego życzymy powodzenia.

J. Pracki.

OBRAZY NA WYSTAWIE
Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych
W WARSZAWIE.

Malarstwo historyczne tak jak i religijne to poemat z wielkiej myśli wytrysły, przeszłość łączący z obecnością i przyszłością, uplastyczniający to co księgi wypowiedziały, i streszczający nieraz prace wieków w jednym fakcie uosobione. Zadanie jego wielkie, w pomysłach też swych powinno mu wiernie służyć. Na brak ich ogólnie w całym niemal świecie dają się słyszeć skargi, u nas mniej bo stosunkowo więcej mamy malarzy historycznych od całego zachodu.

Obraz pana Millera Karola, przedstawiający Stanisława Augusta przyjmującego szkice artystów dla ozdoby Łazienek przeznaczone, ubogi jest bardzo w pomyśle. Przyjmujemy go jednak chętnie, bo staranność wykonania godna pochwały, żałując tylko że dla tak małej rzeczy użytą została. Król niedaleko sadzawki przed pałacem Łazienkowskim siedzi w krześle i trzyma szkic w ręku Bacciarelego, który nachylony nieco ku niemu daje odpowiednie objaśnienia. Po za nim stoi Pink i Kamerling z modelem statuy Sobieskiego trzymanym przez pomocnika. Za krzesłem króla siedzi Grabowska, dalej stoi Lubomirska i jakaś jeszcze dama, a wszystkie trzy młode, wabne, świetnie ustrojone nie tylko we wdzięk urody ale i w ozdobne szaty. Za niemi cokolwiek na boku stoi Trembecki przy młodym jakimś cudzoziemcu, w głębi za królem mieści się dwóch kontuszowców z wygolonemi według upadającej mody czuprynami. Otóż i wszystko co obraz dość dużych rozmiarów przedstawia. Wykończenie jego wiele pracy malarza kosztowało, a podjęte było jedynie w celu wykazania, że Stanisław August uwielbiał piękność nie tylko w sztuce ale i w żywych okazach. Szkoda na to czasu i atłasu, jak niegdyś sam Stanisław powiedział na ofiarowane sobie wiersze, wypisane starannie na atłasie przez niefortunnego jakiegoś poetę.

Pod względem jednak czysto malarskim, praca to bardzo piękna, koloryt naturalny i wszystkie szczegóły jak najstaranniej odrobione. Szczególniej sam Stanisław, towarzyszące mu damy i Bacciareli pełni życia i naturalności.

Z rodzajowych obrazków, trzy znajdują się poświęcone dzieciom.

Pan Löffler pod tytułem *Ból serca*, przedstawił chłopca widać wielkiego urwisa, z rozczochraną głową opartego na stole z ręką pod brodą trzymaną. Patrząc prosto w okno, widzi rówieśników bawiących się w piłkę, ból serca sprawiony niemożnością podzielenia z niemi zabawy drażni go i niecierpliwi. Radby jak najprędzej wyrwać się od książki rozłożonej przed nim, ale obok siedząca siostra czy ciotka, bo na matkę za młoda, zajęta ręczną robotą, widocznie czuwa aby urwis się nie wyrwał.

Patrząc na niego mimowolnie myśl szepcze: dobrze ci urwisie, naucz się a będziesz biegał jak drudzy.

Pan Dylczyński w obrazku zatytułowanym: *O chlebie i wodzie*, jakąś cięższą przedstawił winę chłopczyny, a może surowsze tylko z nim obejście się za przestępstwo więcej z krewkości dziecinnej jak ze złej woli wypływające. W komóreczce na chwilowe więzienie przeznaczonej, przy stole z dzbankiem wody i kromką chleba na nim położoną, stoi chłopczyna z krótko obciętemi włosami, ale z miną tak smutną że mimowoli w patrzącym obudza współczucie. Biedne dziecko! samotność go trapi, głód męczy, spogląda też litościwie, cierpliwie czując, że tu gniew i lamenta nic nie pomogą.

Musi karę spełnić do ostatniej minutki, dzbanek ani chleb go nie nęcą, tylko dokucza żal, że na karę zasłużył, że cierpi i zmuszony jest poddać się smutnej konieczności. W *Bólu serca* z urwisem opiekunowie widać że nie mogą sobie dać rady, że pobłażliwość go psuje, że chleb i woda właściwszem tu byłyby lekarstwem, jak przymus naukowy i zabronienie zabawki. W obrazku pana Dylczyńskiego inne rodzi się przekonanie, prośba o przebaczenie sama z ust się wyrywa, bo chłopczyna choć zbroił alež to dziecko, dobre, łagodne, łatwo ulegające, godne więc przebaczenia. W trzecim obrazku pana Heymana *Lekcya muzyki*, występuje na scenę figlarnie uśmiechająca się dziewczynka, która siedząc przy fortepianie spogląda z tajoną radością na nauczyciela muzyki, tuż obok niej siedzącego w najlepszem uśpieniu.

Nie młody to już człowiek: od rachowania taktu, porządkowania palcy w użyciu i poprawiania omyłek uczących się, pobielał mu już włos na głowie, znużenie wybiło piętno w rysach i zmarszczkach, nic też dziwnego, że na chwilę złożywszy skrzypce na kolanach bezczynnie, usnął jakby w łóżku. Sen smaczny, ożywczy a tak pożądany, widnieje w całej twarzy nauczyciela. Pamięć, czucie, troski, trapiące myśli wszystko to pierzchło za bory i lasy, spi więc a dziewczynka ujrzawszy to, uśmiecha się zwyczajnie jak dziecko nie znające ciężaru życia, które już szósty krzyżyk znaczy na przygarbiającej się postaci. Treść cała wiele ma w sobie prawdy, zajmuje i przynęca, co bardzo pochlebnie świadczy o talencie artysty. Wszystkie wreszcie trzy obrazki tym się zalecają przymiotem.

O ubiorach.

Dzień S-go Józefa obchodzony w wielu domach sutemi Imieninami nastręczył nam sposobność widzenia gustownych toalet, z których niektóre opiszemy naszym Czytelniczkom.

Suknia muślinowa biała, nieco dłuższa z tyłu, z 5-ma karbowanemi falbankami do koła, czterocalowej szerokości, z nagłówkiem, na to rodzaj tuniki, tak samo garnirowanej, z przodu en tablier ułożonej. Stanik francuzki nie bardzo dekoltowany z bertą o 2-ch falbankach skrzyżowaną na przodzie, do lewego boku, gdzie długie szarfy również muślinowe z 2-a falbankami z nagłówkiem, związane na kokardę o dwóch puklach, podtrzymywały przymarszczenie tuniki z jednej strony ku przodowi, a z drugiej na tył spadały aż na garnirowanie sukni. Obie szarfy połączone były z sobą, w górze wężej, poszerzone ku dołowi, spojeniem ze wstążki atłasowej białej dwu-calowej, z kokardką w środku z koń-

cami, na obu zaś bokach bez końców. Drugą stronę fartuszka z tejże samej wstążki dość gęsto, bo co półćwierci łokcia, ubierały także kokardki o dwóch pukielkach, a na zakończeniu dużo większa kokarda z kilkoma końcami. Wianek z białych polnych ze mchem różyczek ozdabiał głowę, uczesaną we dwa warkocze, z których jeden ułożony był po nad czołem szerzej spleciony, a drugi wyżej na około głowy. Do tego ubrania służyły buciki czarne na niziutkich obcasach.

Druga suknia także miluchna i niekosztowna, z białego tarlatanu miała u dołu wolant, potrójnym rzędem w odstępach niewielkich narzucony mocno niebieskiemi grochami. Staniczek wycięty plisowany w dość szerokie fałdy u gorsu, tak samo przystrojony w podłuż na każdym fałdzie; od boków stanika szeroki karok oszyty fałdowanym wolantem, mającym na zakończeniu wązką z nagłówkiem marszczoną falbankę. Do tego pasek niebieski i takąż szarfę nader zgrabnie ułożoną. Na głowie do koła wianek uwity we trzy rzędy, z habru i rumianku, środkowy rząd z habru. Kok z loków dość długo spadający z tyłu, stosowne bukiety u lewego boku i na jednem ramieniu.

Suknia z cieniutkiego białego muślinu, miała spódnicę ubraną do koła na 3 ćwierci szeroko, buffą z nagłówkami od góry i dołu, przemarszczoną w podłużne bufki 3 cale szerokości; nagłówki karbowane. Króciutka tunika odpowiednio przybrana, z przodu en tablier ułożona, z jednej strony podtrzymana szeroką bardzo szarfą na tle białem, w wielkie polne bukiety z kłosami, z dwucalowemi brzegami niebieskiemi, z drugiej na przemarszczeniu z odpowiedniej wstążki nie zbyt szerokiej, kokardy z dwóch pukli z przepięciem, w ćwierć łokciowych odstępach; u samego dołu wielka kokarda z trzema niezbyt długiemi końcami. Stanik, berta na kształt szelek ułożona z buffek, rozcięta na ramionach; na rozcięciu i przy boku u paska niebieskiego, odpowiednie kokardy. Na głowie pół girlanda z kłosów i polnych kwiatów, uwita po nad czołem w diadem, z tyłu zakończona związaniem z angielskiej trawy, która z pośród dość długo spadających z tyłu loków, widzieć się dawała.

Czwarta suknia najstrojniejsza z białego tarlatanu, miała na przodzie szeroki wolant, nad nim bufkę, dalej coraz węższe wolanty na przemian z odpowiedniemi bufami, z tyłu rodzaj płaszcza dobrze namarszczonego z długim trenem, spadającym na szeroki wolant spódnicy, zebrany i podpięty na łokieć od dołu, wielką atłasową białą kokardą. Stanik wycięty plisowany z modestką, przybrany był od jednego ramienia aż do przeciwnego boku, śliczną girlandą z dębowych liści z zieloną żołędzią; tak samo w różnych miejscach fantastycznie podpinaną była tunika. Pasek biały z bardzo szeroką morową szarfą na boku: końce tej szarfy, jeden z przodu, drugi z tyłu były puszczone.

W magazynie Pani Thönesowej widzieliśmy również stroje przygotowane na dzień S-go Józefa.

Suknia różowa muślinowa, zupełnie gładka, w głębokie fałdy z tyłu ułożona, gładko do dołu spływająca z maleńkim trenem, ubrana była wzdłuż sukni, z jednego boku rodzajem wachlarzy skośno położonych, zachodzących jeden na drugi, układanych w fałdy jeden z białego, a drugi z czarnego deseniowego tiulu, oszywanych u góry; czarny wachlarz białą, a biały czarną wąziutką koronką. Wachlarze te szły od przodu ku tyłowi, na przyszyciu tejże rulka atłasowa różowa; w dolnych odstępach wachlarzy różowe kokardki z czarnem przepięciem. Dalej ku przodowi pliska czarna atłasowa, z pod niej koronka biała szeroka na trzy palce, i znowu pliska różowa, a koronka czarna. Przód sukni cały w skośne bufki ułożony przepinały poprzeczne atłasowe pliski nieco szersze, na przemian białe i różowe, środkiem wąziutką aksamitką przedzielone. Na drugim boku szersza jeszcze plisa wzdłuż, z jednej strony czarną a z drugiej białą koronką gładko ogarnirowana. Stanik prawie pod szyję, na przodzie otwarty, ubrany takiemi jak u sukni wachlarzykami, z karokiem w głębokie fałdy, długi na półtory ćwierci, odpowiednio całości przybranym, a w samym środku w górę podniesionym ogromną kokardą, w guście rozety z kilkoma długiemi końcami, z różowej i czarnej wstążki. Rękawki do łokcia wachlarzami i koronką oszyte. Głowa miała być ubrana w pukle i loki; po nad czołem przypięty wianeczek z drobnych mchowych różyczek i czarnych jeżyn.

Suknia biała tarlatanowa na jasno-zielonej jedwabnej. U dołu z tyłu szeroki wolant z zielonej materyi, z trzema wązkiemi bufkami z tarlatanu, przepinanemi zielonemi rulkami na przemarszczeniu, ostatnią bufkę w niewielkich odstępach zdobiły różyczki w okrągły bukiecik z listków usychających ułożone; z pod tych bukiecików na całą tę bufkę spadała frendzla z zielonej trawki. Suknia była z długim trenem. Tunika z tyłu barbdzo długa w guście płaszcza z zielonej materyi, oszyta białą koronką i dwoma tarlatanowemi bufkami z nagłówkiem i rulkami; podniesiona w górę po obu stronach, w tem też miejscu kończyły się bufki płaszcz zdobiące; zakończenie pokrywały wielkie kokardy zielone, z piękną różą z trenem liści. Stanik wycięty z zielonej materyi, na przodzie z bawetem zaokrąglonym, z tyłu z długą baskiną rozciętą, przybrany był do koła różyczkami i oszyty koronką białą, na którą spadała frendzla z trawki; takie samo ubranie umieszczono w górze stanika, który na ramionach w ząb był wykrojony. Na głowie służyć miał wianek z róż i liści, zakończony egretką z trawki.

Suknia z materyi popielatej z trenem. Falbana czyli wolant u dołu, szeroki pół łokcia, do koła sukni z nagłówkiem, z pod którego, leciutko przymarszczona koronka w zęby, szeroka na 5 do 6-ciu cali, przyszyta bufką z tiulu w rzucik; nagłówek oszyty koroneczką dwu-calową. Przód fartuszkowy oszyty na przemian trzema falbankami jedwabnemi i z koronki trzy calowej szerokość, zaokrąglał się ku bocznym brytom sukni, z pod niego po każdej stronie skośno i gładko przyszyte, podwijały się pod falbaną po trzy pasy, ze wstążki aksamitnej czarnej, szerokiej na cztery cale. Na to z tyłu do boków przyczepiony, z wywiniętemi klapami płaszcz dworski z długim trenem z czarnego aksamitu; klapy te podbite były przez całą swą długość różowym atłasem, cały zaś płaszcz oszyty białą koronką lekko nadmarszczoną. Na przyszyciu koronki szła bufka z tiulu jedwabnego, podwleczona wstążką jasno-popielatą; koronka ta spadała na niezbyt szeroki wolant aksamitny, który do koła płaszcz przystrajał. Płaszcz w środku swej długości był przemarszczony i nieco w rodzaj puffu wzniesiony i podtrzymany niezbyt szerokim koronkowym wolantem i wstążką popielatą zwiniętą w rulon. Różowe podszycie rabat, przybierały na poprzek ukośno dane falbanki koronkowe, przyszyte bufką wstążką podwleczoną aż po cztery razy. Każde garnirowanie zakończała do tyłu idąca pięknie ułożona kokarda z wstążki popielatej. Stanik wycięty podłużnie, z tyłu dość wysoko zachodził, i ogarnirowany był krezą à la Marie Stuart z tiulu illusion, koronki i różowej materyi. Rękawy po łokieć odpowiednio przybrane z falbankami z illuzyi i koronki. Na głowie przeznaczone były pióra fryzowane, jedno różowe z białemi brzegami, a drugie czarne popielato nakrapiane.

Żądano od nas poinformowania co do modnych kolorów. Głównych farb dziś używanych tyle jest odcieni, że doprawdy nomenklatura tychże zbyt jest długą; powiemy tylko ogólnie, że kolory *feuilles mortes*, są naśladownictwem wszystkich kolorów, jakie liście w jesieni przybierają, zacząwszy od zielono, czerwono-żółtych kończąc na ciemno-brunatnych. *Kolor pistache* naśladuje owoc pistacjowy, zielonkawo-żółty, tak często w przyprawach cukierniczych i kuchennych używany. *Vert du Nil* blado-niebiesko-zielony. *Kolor beurre* maślany, czyli żółtawo-biały itd.

Dokładnie modną krynolinę, trudno będzie z opisu urządzić, o ile jednak będzie możność potemu opiszemy takową. Do turniury długości łokciowej nawleczone sześcioma rzędami stalek, przyszywa się po obu stronach od bioder klapy węższe w górze, a u dołu szersze na półtory ćwierci, a długie półtora łokcia lub dłuższe stosownie do wzrostu osoby. Klapy te mają kilka razy przyszyte tasiemki do związania na przodzie wedle woli, aby krynolina się nie rozwiewała. Z tyłu do turniury przyszyta łokciowej szerokości falbana w głębokie fałdy ułożona, w połowie długości tej falbany, aż do klapy naciągnięta jedna stalka. Turniura zaś, oprócz przywiązujących ją tasiemek do figury, ma jeszcze pod spodem urządzone z tasiemki gummowej dwa cale szerokiej, środkiem na klamerki spinające się, przytrzymanie, aby w razie upodobania można zrobić turniurę, mniej lub więcej odstającą.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści w kwartale drugim r. b. pod temi samemi co i w pierwszym wychodzić będzie warunkami. Po ukończeniu powieści **Lalki**, pójdą następnie powieści inne oryginalne pani Wilkońskiej, p. t. **Stella**—Orzeszkowej, Marenowej i autora Obrazków wiejskich.

Prosimy o wczesne przesyłanie należytości prenumeracyjnej, adresując **wprost** do naszej redakcyi, bo to jest najpewniejsza droga odbierania pisma w stałych terminach raz ustanowionych.

Osoby które za mało przesłały na prenumeratę **Tygodnika Mód** w kwartale pierwszym, raczą przynależną kwotę dołączyć do należytości za kwartał drugi.

Prenumerata wynosi: w Warszawie.

Rocznie	**rs.**	**7**	**kop.**	**20**
Półrocznie	—	**3**	—	**60**
Kwartalnie	—	**1**	—	**80**

Na prowincyi i w Cesarstwie

Rocznie	**rs.**	**10**	**kop.**	—
Półrocznie	—	**5**	—	—
Kwartalnie	—	**2**	—	**50**

Adres do **J. K. Gregorowicza** *w Warszawie ulica Żabia Nr. 956.*

Przyjaciela dzieci N. 13 wyszedł z druku i zawiera. Dwie gwiazdki przez Teresę Jadwigę (ciąg dalszy).—Zachcianki Zosi, (wiersz) przez Laskarysa.—Pogadanki z Ojcem,—Samolub, komedyjka w jednym akcie, wierszem napisana przez Ludwika Niemojowskiego (dokończenie). —Tańce Arabów (z ryciną).—Odpowiedzi Redakcyi. —Szarada.— Zadanie arytmetyczne. — Znaczenie Szarady.— Rozwiązanie zadania. — Od Redakcyi.— **W dodatku:** Gronko serc kochających, (z ryciną).—Kubuś i ptaszek Pokrzywka, wiersz Józefa Chmielewskiego. —O Jasiu sarniaczku.— Chłopiec i mrówki, wiersz Józefa Chmielewskiego.—Ucieczka przed dzikim bawołem (z ryciną).

Cena w Warszawie kwartalnie kop. 75. Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą pocztową rs. 1.

Adres przesyłając na prenumeratę: Do J. K. Gregorowicza ulica Żabia N. 956.

Do dzisiejszego numeru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066k (23). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.